Cena 25 gr

Skaut

ilustrowany dwutygodnik harcerski

5 PAŹDZIERNIKA 1937

TOM XXV NR 2



POD REDAKCJĄ
WIKTORA FRANTZA
wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca
z wyjątkiem wakacji
Redakcja i Administracja
LWÓW, KURKOWA 12
Telefon 229-04. P. K. O. 504.610
Przekaz rozrachunkowy Nr 58
Godziny urzędowe redakcji: w piątki od 6—7, administracji: codziennie z wyjątkiem świąt od 8·30 do 19·30
Redakcja rękopisów nie zwraca

W NUMERZE:

POD ROZWAGĘ

Wydaje mi się trochę dziwnym szukanie nowej nazwy dla starszych chłopców. Nie idzie mi o trafność nowych, projektowanych nazw, jak włóczęga, wędrownik, lutyk, harcownik i in. ale o istotę rzeczy.

Druh Naczelnik w gawędzie, zamieszczonej w październikowym numerze „W Kręgu Wodzów" wyraźnie mówi: Od początku Harcerstwa mieliśmy starszą młodzież. W początkach polskiego skautingu oni stanowili nawet większość. Nie stwarzamy więc nic nowego, wydzielamy tylko oddzielne jednostki organizacyjne młodszych i starszych".

Jeżeli więc nie stwarzamy nic nowego, jeżeli to już było — to była i nazwa. Czyż nie lepiej nazwę tę przywrócić z powrotem, niż szukać i stwarzać nową?

Nazwą tą jest „skaut". Przyjęła się ona u nas i ma już w języku polskim od dawna prawo obywatelstwa. Mimo wprowadzenia nazwy harcerz nie zginęła i nieoficjalnie utrzymała się do dziś. W pismach harcerskich zwykliśmy obcych harcerzy nazywać skautami, a polskich skautów harcerzami. Nie jest to jednak rozróżnienie konwencjonalne i dużo odstępstw od tej zasady spotykamy.

To też nic nam nie stoi na przeszkodzie do przyjęcia tej nazwy dla starszych chłopców - harcerzy. Przemawia za nią wszystko od wytrzymania próby życiowej i popularności począwszy aż do nawiązania do dawnych tradycyj.

Inne nazwy określające zbyt ciasno i fragmentarycznie nasze zadania i dążności, jak np. wędrownik, zwiedca itp. przydadzą się nam przy próbach i stopniach.

W ogłoszonym na stronie 18 plebiscycie w tej sprawie stawiam na czele listy nazwę „skaut".

Wiktor Frantz

...Prawda cicho jeszcze stąpa przez Polskę, która historii swojej dotychczas nie zna.

A prawda jest tak łatwa: wszyscyśmy grzeszyli, wszyscy byliśmy słabi, wszyscyśmy od musów dziejowych uciekali. Czyż prawda tak trudna jest do powiedzenia?

Czyż trzeba przez słowa kłamliwe nowe węzły plątać? Czyż łgać ciągle w Polsce trzeba, gdy się o sobie mówi?

Powtarzam zawsze i błagam: prawdy pod korcem nie chować, bo ona wyjdzie, skoro jedno kłamstwo drugiemu zaprzeczać musi.

Józef Piłsudski

G A Z E T K A S K A U T A



ŚWIAT SKAUTOWY PODCZAS WAKACJI

Największym wydarzeniem było bezsprzecznie światowe jamboree w Holandii. Trwałym śladem pozostanie skromna odznaka, przypominająca dawny sekstans używany przez pierwotnych podróżników dookoła świata. W jambo wzięło udział około 25 tysięcy skautów reprezentujących 31 państw.



Cała Ameryka przeżyła w lipcu radosny zlot narodowy swoich skautów w Waszyngtonie. Na terenie obozu pomieszczono około 25.000 osób. Arena do ćwiczeń pomieściła 12.000 skautów. Oprócz drużyn przybyłych z 48 stanów U. S. A. goszczono przedstawicieli 24-ch narodów. Najliczniej reprezentowane były kraje obu Ameryk i Wysp sąsiednich. Europa wysłała ekipy z wszystkich krajów — polska liczyła 24 osób. Na pamiątkę zlotu wybito specjalną odznakę.



Ruch wakacyjny Francji stał między innymi pod znakiem kolonii. Zorganizowano obozy w Afryce francuskiej a hasłem pracy było „la conquête" — zdobycie kraju pod każdym względem. Poza gruntownym poznaniem środowiska zorganizowano również pracę społeczną wśród Arabów głównie dzieci.

Szwajcaria obchodziła w czasie wakacji 25-lecie istnienia organizacji skautowej zlotem w Lozannie.

W Kandersteg otwarto równocześnie stały ośrodek kształcenia starszyzny wzorowany na instytucie angielskim lorda Baden-Powella — coś niby uniwersytet skautowy.

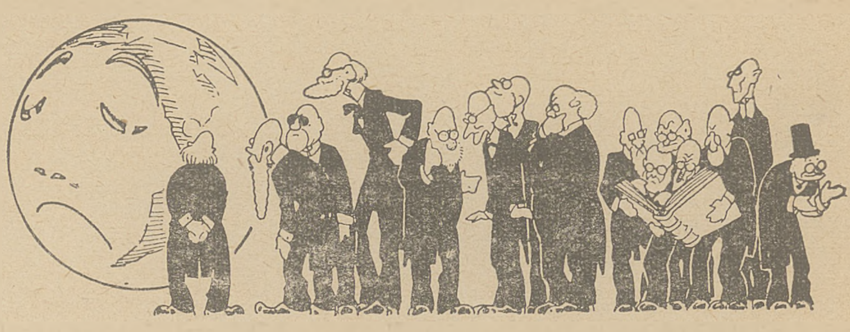
Całość studiów obejmuje 3 stadia: 1) Kurs praktyczny z obozowaniem, 2) Teoria drogą korespondencji z instytutem. 3) Zastosowanie zdobytych wiadomości w pracy w drużynie. Po skończeniu całości absolwent instytutu otrzymuje dyplom podpisany przez samego lorda B. Powella i prawo noszenia odznak międzynarodowych.

Specjalną akcję wakacyjną podjęły skautki angielskie urządzając obozy dla dzieci baskijskich internowanych z terenów wojny pod Bilbao. Poszczególne drużyny rozdzieliły między siebie około 4.000 dzieci-uciekinierów, — organizując je na sposób skautowy. — Nie zapomniano również o losie kalek, które spędziły wakacje obozując w najzdrowszych okolicach kraju. Stosownie do upośledzenia wprowadzono pewne środki pomocnicze. I tak: teren obozu ociemniałych otoczono sznurem z dzwonkami, — szeroko stosowano sygnalizacje gwizdkiem itp.

Samą akcję wakacyjną poprzedził obóz koronacyjny skautów imperium brytyjskiego w maju b. r. Zjechały reprezentacje wszystkich kolonii i wysp tworząc barwną mozaikę ras i szczepów. W imieniu całości przesłała lady Baden Powell depeszę gratulacyjną dla królowej a lord dla króla. Podobne depesze przyszły również z Francji. Podniosła uroczystość zakończyła obóz koronacyjny. Zgromadzone rzesze skautowe pod wodzą Naczelnego Skauta udały się do opactwa Westminsteru gdzie złożono przysięgę wierności Bogu i krajowi. Odprawiona msza św. przypominała koronacyjną, odbywając się wśród tych samych dekoracji i w obecności najwyższych dostojników. Wyróżniała się wśród zebranych szwedzka para królewska w mudurach skautowych gorąco solidaryzująca się z podniosłą chwilą w życiu organizacji brytyjskiej.

Nad brzegami Balatonu otwarto stały ośrodek, letni Węgier. Już teraz wre tam ożywiona praca gdyż w roku przyszłym cały świat skautowy będzie tu święcić dziesięciolecie istnienia światowego Związku Skautowego.

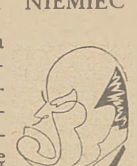
Nowy eksperyment obozowy pojawił się na gruncie Finlandii. Oto urządzono obóz letni dla... matek skautek i skautów. Nowość przyjęto z zapałem — obóz cieszył się liczną frekwencją i upłynął w atmosferze radości i humoru.



MORALNA PORAŻKA HISZPANII

Na trzy zwalniające się miejsca niestałe w Radzie Ligi Narodów pierwsze przyznano Peru, drugie Persji a na trzecie Hiszpania i Turcja starały się o prawo reelekcji, do którego jednak wymagana jest uprzednio zgoda Zgromadzenia Ligi większością $^2/_3$ głosów. Niepowodzenie Turcji było do przewidzenia gdyż jako państwo występujące w grupie państw Bliskiego Wschodu jest już w Radzie reprezentowana przez Iran (Persję). Niespodzianką natomiast była porażka Hiszpanii, za którą opowiedziało się 23 głosów przeciw 24 głosom i 5 białym kartkom. To niepowodzenie Hiszpanii jest bardzo charakterystyczne i znamienne. Na trzecie zwolnione miejsce weszła do Rady Belgia.

MUSSOLINI GOŚCIEM NIEMIEC



Pięciodniowa wizyta Mussoliniego w Niemczech była przede wszystkim manifestacją przyjaznej współpracy włosko-niemieckiej, „oddającej się solidarnie na usługi trwałego pokoju europejskiego". W myśl zasady głoszonej przez Mussoliniego oś Rzym-Berlin ma skupić wszystkie europejskie państwa, z wyjątkiem oczywiście Sowietów, celem wspólnej obrony przed prądami wywrotowymi. Pozatem wizyta była aktem zbratania się dwóch podobnych partii politycznych: faszystów i narodowych socjalistów, co znalazło swój wyraz w nadaniu Hitlerowi najwyższego odznaczenia ruchu faszystowskiego godności honorowego kaprala milicji faszystowskiej.

ŻÓŁTA WOJNA

Od przeciągającej się wojny domowej w Hiszpanii uwagę świata odciąga coraz więcej krwawy konflikt na Dalekim Wschodzie, w którym bezwzględne metody walki, a zwłaszcza srożące się bombardowanie lotnictwa japońskiego pociąga tysiące ofiar zarówno z pośród wojska jak i ludności cywilnej. W walkach chińsko-japońskich zainteresowane są i zagrożone interesy innych państw a przede wszystkim Sowietów, Anglii i Ameryki, to też daleka terytorialna wojna może zaważyć na i tak już chwiejnej równowadze politycznej Europy.

NOWA POLSKA AMBASADA

Z dniem 1 października poselstwo japońskie w Warszawie i polskie w Tokio zostały podniesione do rangi ambasad. Ambasadorem polskim mianował P. Prezydent Rzeczypospolitej p. Tadeusza Romera dotychczasowego posła w Tokio udzielając równocześnie agreement dla p. Shyuicki Sakoh desygnowanego na ambasadora Japonii w Warszawie.

WIELKA PRZYGODA W ŻAKLI

Po zakończeniu tzw. fachowo „syzyfowych prac" w rodzaju stawiania namiotów, szałasów, budowania kuchni i zbijania nieszczęsnych prycz (ileż to razy waliło się młotkiem w palec zamiast w gwóźdź) rozpoczął się w naszym obozie okres „wielkiej przygody". Jak z worka sypały się ćwiczenia i gry, gry i ćwiczenia. Słowem, bardzo miły przekładaniec, bo wynikała z niego ogromna moc „wielkich przygód".

Nic dziwnego! Trzeba było wypocząć po smętnych troskach z powodu nagminnego walenia się prycz, toteż nasza Komendantka, która dobrze zdawała sobie sprawę z depresji duchowej swych owieczek, wymyślała coraz to nowsze i coraz morowsze ćwiczenia. Każde z nich przeżywałyśmy, jako „wielką przygodę", każde dawało nam moc emocji, każde zostawiało pamiątki w rodzaju guzów i siniaków, które to trofea były bardzo łatwe do zdobycia, jeżeli się weźmie pod uwagę, że obozowałyśmy w górach.

Właśnie w tej chwili przypomniałam sobie jedno z pierwszych i prawie najlepszych ćwiczeń. Opisałam je zaraz post factum w moim pamiętniku obozowym, więc teraz pozwolicie, że wszystko stamtąd odwalę. I nie dziwcie się, że styl będzie tu i tam trochę „nie tego", ale zrozumcie, że nie można zbytnio myśleć o nim, gdy się pisze na kolanie, o 11-tej w nocy, przy świeczce. Proszę słuchać! Zaczynam:

Środa, 7. VII. 1937 rok, Żakla.

O godz. 8-mej wieczorem wysłała Komendantka nasz zastęp „Granitów" do kolejki, która miała przyjechać za 15 min., abyśmy odebrały od 2 dni oczekiwany prowiant.

Cokolwiek nas ten rozkaz zdziwił, bo nigdy o tej porze „samowarek" nie przychodził, ale ponieważ Komendy rzeczą było rozkazywać, a naszą słuchać, więc nic nie mówiąc, ale głośno śpiewając serenadę poszłyśmy do miejsca przeznaczenia. Cała nasza 9-ka „granitowa" rozsiadła się na torze. (Chodzenie po torze surowo wzbronione, ale siedzenie — nie). Irka, nasza „Ordonka" sławna na wszystkie 5 żaklańskich obozów, zaczyna solować ulubioną przez siebie od pewnego czasu pieśń: „Pójdź w ramiona me...". To „me" wzięła bardzo wysoko, a potem nagle zupełnie nisko tak, że przy jej szerokiej skali wypadło to jak beczenie kozy. (Irko! Nie obraź się).

Przyczyną nagłego „zwinięcia masztu" i zamilknięcia było to, że rzeczywiście stanął nagle przed nami jakiś gość i bez słowa wręczył nam dość pokaźny pakunek. My naturalnie zaraz: „kto on" i „co to za paczka", ale nasz jegomość udaje niemego i... buch w las.

Irka trzyma pakunek, mówi, że cierpną jej ręce. Olśniewa nas jasna myśl, to pewnie bomba, a może... bombonierka! Głośno wyrażamy zachwyt, ale z drugiej strony myślimy dlaczego on tak zaraz „buch w las"? Ach! To najpewniej piekielna maszyna. Irka ubezpiecza się na zapas i mówi: „Gdyby mnie rozerwało, to powiedzcie mamusi, że w ostatniej chwili myślałam o niej!" O Boże! Ładna perspektywa! Wprawia nas to w grobowy nastrój, ale solidarnie postanawiamy, że „wszystkie za jedną", więc jeżeli to „coś" wybuchnie, niech przynajmniej zostanie rozerwana cała S-ka i niech polegnie odważnie i śmiało. (Teraz dziwię się dlaczego żadnej z nas nie przyszło na myśl, żeby poprostu wyrzucić tę paczkę).

Odruchowo patrzę na zegarek, aby zbadać przypuszczalną godzinę naszej śmierci. Ciemno. Świecę „Centrą". 8.15. To dziwne! Właśnie teraz miała przyjść kolejka... Drżącym i nieśmiałym głosem rzucam pytanie: „Słuchajcie! Może to tylko ćwiczenie... bo..." Od razu powstał hałas „granitowy" i dalejże bliżej badać sprawę... Mamy! Coś napisane! Ja świecę. Lusia, jako że zastępowa czyta: „ot-wie-rać na-tych-miast!" Za chwilę już wyławiamy ze środka list. Irka czyta drżącym i przytłumionym głosem:

„Błagam! Nikomu ani słowa! Ukryjcie tę paczkę daleko i strzeżcie jej, to mój jedyny ratunek. Zgłoszę się po nią wkrótce...!"

Cisza dokoła. Las tylko szumi. Irka czyta da capo. To dziwne, ale wszystkie naraz czujemy, że to już noc i że zimno. Brrr! Nie wiemy właściwie, czy to jest ćwiczenie (z powodu tego, że paczkę dostałyśmy punkt 8.15) czy może jakiś „haczyk" na nas, (z powodu „...ukryjcie da-le-ko") aby nas nabrać i zrobić zasadzkę.

Szybko pędzą dwie na teren obozowy i zadyszane pytają Komendantki: „co mamy z takim fantem zrobić". Uśmiecha się tylko i kładzie palec na ustach. Aha! Rozumiemy — wszystko w porządku! (Może nie bardzo all right, bo tam stało wyraźnie napisane: „nikomu ani słówka", ale chyba...). Szybko, szybko, jak tylko możemy, organizujemy ukrywanie paczki. Chowamy ją w odległości 1 km. Stawiamy straże. Sam pakunek — skarb jest ukryty w kopie siana. Pełnię wartę i staram się być całkiem niewzruszona, ale mój stoicki spokój cokolwiek się załamuje, gdy słyszę, jak Irka i Stacha szczękają zębami.

Czekamy i czekamy na tego „gościa". Już dobrze trzęsiemy się z zimna i ze... strachu, gdy nagle spostrzegamy na drodze światełka latarek. Już są blisko. „Stój! Kto to?" — „Swój". Poznajemy po głosach i „cichym" chodzie zastęp „Orłów" i... zaczynamy z nimi, a rączej one z nami lekką pogawędkę, bo niby dlaczegóżby nie?! Za późno spostrzegamy, że to był trick z ich strony, aby zmylić naszą czujność, bo rzucają się nagle na kopę siana i z triumfem porywają paczkę. Na nic nasze rozpaczliwe krzyki i czynne wystąpienia — ani rusz skarbu nie oddadzą, na nic pertraktacje i układy — wszystko bez skutku, tak, jak w Lidze Narodów.

Wracamy razem z nimi na teren i obiecujemy sobie na drugi raz nie ufać nawet temu, kto powie, że swój. Po drodze opowiadają nam „Orły", (już jesteśmy w zgodzie) że z nimi to była jeszcze inna heca. Zwłaszcza obozowy „trójkąt małżeński", obdarzony niezwykłym krasomówstwem stara się przekrzyczeć resztę zastępu, dzięki temu jednak mamy barwny i dokładny obraz — jak to tam było.

Dowiadujemy się, że cała nasza drużyna „Szczytów" (tzn. nie całkiem cała, bo naszego zastępu brakowało) obchodziła spokojnie uroczyste otwarcie nowo postawionej kuchni. (Właśnie wtedy wysłała nas Komenda do samowarka). Otóż cała drużyna śpiewała i wiwatowała na cześć nowego zabytku. Prawie żadna nie zwróciła uwagi, że dwie z naszego zastępu wróciły od strony toru i coś tam z Komendą szeptają (właśnie wtedy pytały się: „co z tym fantem zrobić"). Nie wydało im się to zupełnie podejrzane, tym bardziej, że nasze zaraz odeszły. „Szczyty" śpiewają sobie dalej, a tu nagle wpada dhna Janka „z rozwianym włosem" pełna przerażenia i leci wprost do Komendy, wołając strasznym głosem:

„Widziałam — widziałam — oh nie mogę! Tchu mi brak! Jakiś mężczyzna wyleciał z namiotu Komendy... w ręce trzymał dużą paczkę..." Komenda robi przerażone oczy i mówi ze strachem: „To na pewno amunicja — za 250 zł". (Kiedy się one zdążyły namówić? Trzeba przyznać, że wspaniale grały). Naturalnie po takim „dictum" wszystkie zerwały się na równe nogi i większa część zaczęła się trząść i nawet o zgrozo!... piszczeć ze strachu. (Swoją drogą było już całkiem ciemno). A tu na domiar złego Komenda mówi, że trzeba łapać złodzieja... Ale gdzie tam! Żadna nie chce iść na początku, ani na końcu, tylko wszystkie w środku. Ponieważ jednak dotąd nie wynaleziono tak skombinowanego szyku, więc chcąc nie chcąc, musiały się znaleźć kozły ofiarne (które nawiasem mówiąc, potem się chwaliły, że nic a nic się nie bały). W końcu wszystkie się uspokoiły i tyralierką chciały „wywąchać" szukanego ptaszka, ale jakież było ich zdziwienie, gdy Komenda wydała rozkaz, żeby iść szykiem patrolowym i... drogą! O! teraz już nawet największe patałachy domyśliły się, że to wszystko było zwykłym nabijaniem w butelkę, bo niby skąd mogła Komenda wiedzieć, że ten czarny typek uciekał drogą. Już wiedziały, że był on tylko — „strachem" ale nie na wróble, lecz na bardzo odważne druhenki. Dlatego z takim furorem zdobyły się na buchnięcie nam osławionej paczki....

Na tym skończył się mój opis w pamiętniku, nie wiem dlaczego. Aha! Przypominam sobie — zgasła świeca, a w ciemności, to jeszcze nie umiem pisać, choć się dużo nowych rzeczy nauczyłam na obozie.

Teraz muszę postawić „kropkę nad i". Pewnie jesteście ciekawi, kto to był ten pan, co grał „stracha na wróble"? Otóż był on instruktorem W. F. i przyjechał w tym dniu do obozu zastępowych i właśnie dlatego wybrano go na „czarnego typa", żeśmy go jeszcze nie znały.

Od tego morowego ćwiczeńka byłyśmy już stale nastawione na jakąś nową grę, ale przeważnie, jak przyszło co do czego, to znowu brałyśmy wszystko na serio i dlatego było tak cudownie i tak miło i dlatego mamy tyle wspomnień z naszego obozu „wielkiej przygody". A teraz już na koniec wzywam cały zastęp „Granitów", aby ruszył konceptem i też się odważył napisać! Ciekawam, która pierwsza się odezwie? Może Ty Stasiu i Lusiu, a może Julka, Hela, Ada, albo Cesia? A czy obie „głośne" Irki będą cicho siedziały? E! Chyba nie! Macie przecież moc tematów... o tych „hydrach" z brylantami, o przyrzeczeniu i imieninach, o Ludwikówce, która przeważnie zjawiała się na... podwieczorek (przepraszam mocno, ale co prawda, to prawda) o panu Wojewodzie i cukierkach, o wycieczkach i alarmach, o warcie i o tylu, tylu innych rzeczach... Napiszcie dużo, dużo, żeby innym pokazać „jak to na obozie ładnie" i żeby tym samym wyrazić zachwyt i wdzięczność dla Dhny Komendantki, która tak skrzętnie zapełniała nam czas „przekładańcem", żebyśmy się nie nudziły. A był on naprawdę bardzo smaczny, trzeba przyznać!

Nusia — zastęp „Granitów"

NIEDŹWIEDŹ NA ZRĘBIE

W dzisiejszych czasach nie ma już na świecie, z wyjątkiem paru nielicznych dziewiczych zakątków, dzikich zwierząt na wolności. Już nie długi jest czas, kiedy wyginą zupełnie i będzie je można tylko oglądać w ogrodach zoologicznych. Już teraz w zwierzyńcach europejskich jest więcej lwów niż w całej Afryce.

Aby zapolować dziś np. na niedźwiedzia trzeba mieć naprawdę nie byle jakie szczęście.

Opowiadał mi pewien Szwed ze Sztokholmu, że u nich to niedźwiedź pojawia się tylko jeszcze na północy i to tak rzadko, że między myśliwymi, a okolicznymi chłopami stanęła umowa, że gdy tylko zwierz się pokaże, mają zaraz telefonować do myśliwych. U nich telefon jest wszędzie, nawet w najbiedniejszej chacie.

Po takim telefonie myśliwi zabierają wszystko najpotrzebniejsze i najbliższym pociągiem wyjeżdżają do okolic, gdzie chłopi wytropili niedźwiedzia. Chłop dostaje za to sto koron, ale aby nie było szachrajstwa, płaci się wówczas, jeżeli się widziało zwierza.

Radca ambasady przybyły niedawno ze Sztokholmu opowiedział nam o jednym takim polowaniu.

Dostaliśmy telefon z wioski Angoe od oberżysty Petersona — zaczął opowiadanie. Przyjechaliśmy tam pod wieczór. Oberża malutka, aby urządzić nocleg myśliwym, właściciele stary Peterson, jego syn Olaf, synowa Maria i wnuczek poszli spać do stajni. Pytamy oczywiście o niedźwiedzia.

— Jest, jest! zobaczą go panowie jutro — mówi stary na odchodnym, a dzieci mu potakują.

Spaliśmy smacznie, aż skoro świt zbudziło nas głośne pukanie do drzwi. To Olaf budził nas i wołał:

— Niedźwiedź panowie! Niedźwiedź!

W pięć minut byliśmy gotowi. Połknęliśmy szybko śniadanie przygotowane przez Marię i wyszliśmy prowadzeni przez Olafa.

— A ojciec? — pytamy przez grzeczność — pewnie spi jeszcze?

Olaf lekko skinął głową i wyjaśnił, że ojciec ma już ósmy krzyżyk na plecach.

— Tędy, panowie! — mówił dalej — wczoraj widzieliśmy niedźwiedzia w tym lesie nad jeziorem. Będzie stąd dobra godzina drogi.

— Duży niedźwiedź? — pytamy.

— Nie bardzo. Pewnie niedźwiedzica, która szuka żeru dla małych.

Uszliśmy spory kawał, kiedy Olaf pochylił się nagle.

— Tam, — wyszeptał. — Tam!...

Rzeczywiście ujrzeliśmy ślady nie pozostawiające żadnej wątpliwości.

— Tam, tam — szeptał dalej Olaf wyciągając rękę — zwierz na zrębie.

Istotnie przez polanę oddaloną jeszcze spory kawał od nas przemykała się przysadkowata niedźwiedzica. Zaraz jednak zawróciła jakby „zapomniała chustki do nosa".

Jeden z mych towarzyszy chciał strzelić, schwyciłem go jednak za rękę.

— Do niedźwiedzia strzela się na trzydzieści, a nie na trzysta kroków. Naprzód, cicho! — zakomenderowałem.

Nigdy jeszcze nie szedłem tak długo przez gąszcz skulony we dwoje. Cały dzień wtedy szukaliśmy zgubionych tropów przemyślnego zwierza, pod noc wróciliśmy z niczym do oberży.

— Ot nie mieli panowie szczęścia — ubolewał stary Peterson chowając do kieszeni pieniądze, któreśmy rzetelnie za widzianego zwierza zapłacili..

A w jakiś trzy miesiące potem to i stary oberżysta nie miał szczęścia. Jakiś bardziej krewki myśliwy, skoro ujrzał niedźwiedzicę posłał jej zaraz kulę w łapę. I okazało się wtedy, że to stary Peterson, okryty skórą „robił" niedźwiedzia.

Od tego czasu myśliwi nasi płacą za niedźwiedzia dopiero wtedy, gdy go zabiją.

wg Piotra Gifiarda

TĘPIMY SMUTNE TWARZE



Wymyśliłem nową grę harcerską: polowanie na smutne twarze. Strasznie dużo smutnych twarzy w Polsce, a ponieważ teren polowań mam nieograniczony, konkurencji zaś jak dotąd żadnej — łowy są obfite i zasługi dla kraju będę miał duże, bo tępię groźnego szkodnika jakim jest smutek.

Gdzie go tylko ujrzę, na czyjejkolwiek twarzy, zaraz się go staram zastrzelić skautowym uśmiechem.

Czasem wśród łownej zwierzyny trafi mi się grubsza szyszka. I tak, nie zbyt dawno, zastałem Komendanta Chorągwi Lwowskiej dha hm. Szczęścikiewicza posępnego jak noc. Na takiego „grubego zwierza" to już warto zapolować z aparatem fotograficznym. Wyciągam więc Kodaka i... pstryk! zdjęcie gotowe.

Druh komendant patrzy ponuro i milczy. Ja uśmiecham się i zagajam rozmowę sentencjonalnie:

— Kwasić się smutkami — to partaczyć życie!

— Czego chcesz? — odzywa się grobowym głosem komendant — nie mam najmniejszej ochoty do gadania.

— Bo druh jest na złej ścieżce, smutkiem dojdzie druh do złego humoru.



— Ja już jestem w złym humorze! — wrzasnął porywczo druh harcmistrz i machnął nogą jakby chciał mnie kopnąć.

Odskoczyłem przezornie i zawołałem:

— Mam lekarstwo na zły humor!

— „Kogutka"? — zapytał z pogardą druh Szczęścikiewicz.

— Nie! — odparłem — różdżkę skautową keep smiling.

Lekceważące machnięcie ręką było odpowiedzią. Nie dałem za wygraną, teraz nadszedł czas by zastrzelić smutek żrący duszę komendanta. Zacząłem mówić wesoło strzelając cały czas uśmiechami jak z maszynowego karabinu.

— Smutek podcina siły żywotne człowieka, zabiera chęć do pracy. Praca bez uśmiechu staje się ciężarem, ciężarem nieznośnym, a przy uśmiechu wszelki trud i przykrość maleją. Radość to dźwignia życia. Skaut rozświeca drogę, którą idzie, pogodnym wyrazem twarzy, uśmiechem.

Pogoda i uśmiech harcerski są zaraźliwe, promieniują na otoczenie, to też nic dziwnego, że gdy wypowiedziałem na koniec okropnie śliczny wiersz:

Nie kogutki — są na smutki
Druha Szczęścikiewicza,
Lecz radość oblicza...

usta komendanta rozchyliły się do uśmiechu.

Czekałem tylko na tę chwilę i Kodak mój pstryknął po raz drugi. Teraz rozmowa potoczyła się już gładko. Radziłem komendantowi, aby zamiast proszków, nosił stale przy sobie kalendarzyk „Uśmiechnij się" i aby razem ze mną polował na ponure twarze.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Czerwone i żółte smugi rozlały się szeroko po niebie... wtedy zacząłem cichym głosem mówić piękny wiersz Heleny Duninówny:

Pomyśl czasami nad sobą... może o zmierzchu godzinie,
Może o jakiejś najcichszej, przed nocą ostatniej chwili.
Niech się dzień cały przed tobą, jak długa wstążka rozwinie,
Niech każda jego godzina nad twą się duszą pochyli.
Zobacz, co dałeś dziś światu i co dostałeś od świata,
Czyli nie przepadł na marne ten skrawek twego istnienia...
Co przeważyło dziś szalę: zysk czysty, czy gorżka strata,
Co warte jest, by przetrwało, co rzucić w mrok zapomnienia.
A jeśli ten dzień miniony przyniósł ci trochę radości,
I dobry był, i pogodnym w tobie oddźwania się echem —
Przypomnij: czyś ze swej strony ze skarbca swojej młodości
Obdarzył kogo nawzajem promykiem słońca u ś m i e c h e m?

P L E B I S C Y T

Zgodnie z uchwałami Konferencji w Górkach Wielkich — Redakcja ogłasza plebiscyt na obranie nazwy dla starszych chłopców harcerzy. W plebiscycie powinni wziąć udział wszyscy starsi chłopcy wyodrębnieni w nowe jednostki organizacyjne.

W następnym numerze, który ukaże się 20 października, zostanie podana pod głosowanie lista proponowanych nazw. Do czasu zamknięcia 3 numeru tj. do 14 bm. redakcja przyjmuje projekty i zgłoszenia nowych nazw, które zostaną zamieszczone na liście. Do każdej nazwy trzeba dołączyć krótkie uzasadnienie, dlaczego ją właśnie się proponuje.

Starsi chłopcy mają głos!

Na pierwszym miejscu listy stawiamy nazwę: skaut

BUDUJMY SZKOŁY

Od 2 do 10 października odbędzie się doroczny IV Tydzień Szkoły Powszechnej. W związku z tym chcemy Was poinformować krótko o roli, zadaniach i organizacji Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych. Powstało ono w r. 1933 dzięki inicjatywie ówczesnego wiceministra WR i OP p. Kazimierza Pierackiego.

Sytuacja była taka, że w okresie załamania się naszej gospodarki państwowej Sejm ustawą z dnia 22. XII. 1925 zniósł obowiązek subwencjonowania do wysokości 50% kosztów budowy szkół, co było zagwarantowane ustawą z dnia 17. II. 1922 r. Przerzucenie całego ciężaru budowy szkół na samorządy, odbiło się oczywiście ujemnie na akcji budowlanej paraliżując budowę szkół niemal zupełnie.

Koncepcja wiceministra Pierackiego była prosta i jedynie możliwa w zubożałym społeczeństwie. Gdyby każdy obywatel Polski dał miesięcznie 1 grosz na budowę szkół to rocznie zebrałoby się ponad 3 miliony złotych, co przy symbolicznej kwocie wstawianej na ten cel w budżecie państwa (na rok 37/38 — 50.000 zł.) byłoby funduszem nie małym.

I w ten sposób pod hasłem: „Każdy obywatel winien być członkiem T. P. B. P. S. P. Z groszowych datków będziemy budować szkoły, najważniejszy czynnik do zwalczania ciemnoty" — powstało Towarzystwo Wyższej Użyteczności.

W powodzenie śmiałej inicjatywy nie wierzono a jednak silna wola jednostki znalazła całkowite zrozumienie i poparcie w społeczeństwie, a choć dziś jeszcze nie dotarła do wszystkich obywateli zdołało już towarzystwo z drobnych ofiar zgromadzić blisko 12 milionów złotych. Fundusz ten jest rozdzielany gminom w postaci bezprocentowych pożyczek spłacanych ratami przez 20 lat a dochodzących obecnie do wysokości 25% kosztów budowy.

Na uwagę zasługuje celowa organizacja T-wa, którego koszt administracji jest minimalny mimo, że obraca ogromnym jak na dzisiejsze czasy kapitałem i liczy 12 i pół tysiąca Kół rozsianych po całej Polsce. Przy pomocy T-wa buduje się obecnie około 1500 izb szkolnych rocznie, bez pomocy około 500 izb, ale obliczenia oficjalne wskazują, że aby nadążyć potrzebom szkolnictwa trzeba budować rocznie 5 tysięcy izb.

Dużo jeszcze jest do zrobienia, więc nie żałujmy swych groszy.

KORNEL MAKUSZYŃSKI O SKAUCIE

Z harcerzami jestem w doskonałej komitywie. Jako autor burzliwych książek, które na chudym koniu tytułu jadą na poszukiwanie przygód, zdobyłem u niektórych indiańskich szczepów harcerskich zaszczytny przydomek: „morowy". Oznacza to zapewne że gdybym nie był ślepy, głuchy, połamany i gdybym nie miał dwóch lewych nóg, może mógłbym zostać harcerzem. Ten i ów wojownik z gołymi kolany pozdrawia mnie przy spotkaniu gromkim okrzykiem: „Czuwaj!" i pokazaniem w uśmiechu trzydziestu dwóch żarłocznych zębów. Wtedy ja zmrużeniem oka daję znać, że czuwam niezmordowanie i jestem gotów do wszelkiej awantury. Boleśnie dotknęła mnie przeto nagła zmrożona obojętność harcerskiego luda. Poczułem się w lodowatej atmosferze jak zamrożony sandacz. Przestano mnie harcerskim zawołaniem wzywać do naprężenia ducha. Gorzej! Brzdąc, jeden z drugim, zaczął spoglądać na mnie z lekceważeniem i z zuchwałą pogardą. Straciłem trop. Musiałem, sam o tym nie wiedząc, popełnić jakieś łajdactwo przeciwko harcerskiemu honorowi i „straciłem twarz", jak Chińczyk. Najmniejszy „wilczek" uważa mnie za bu-

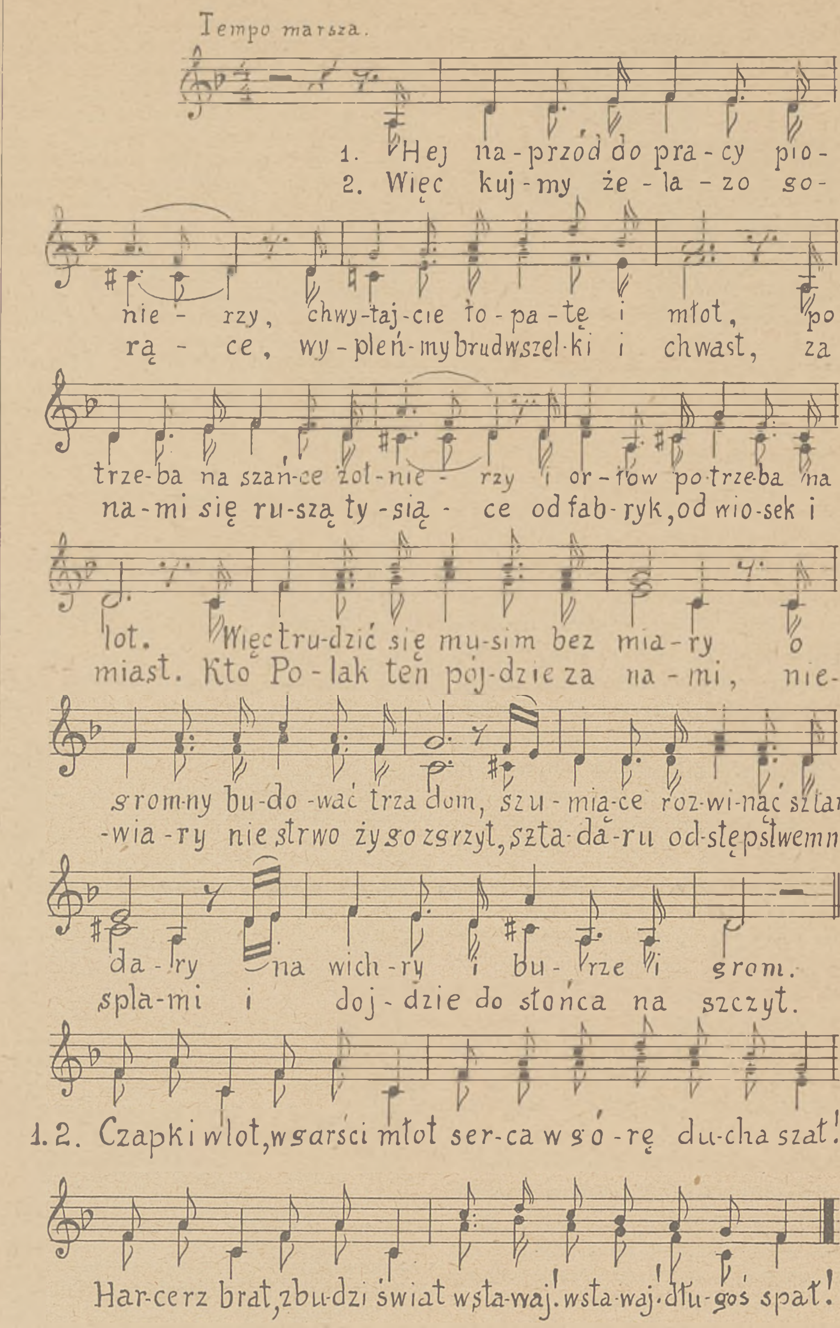
rego kundla, niegodnego ciepłego i wesołego spojrzenia. Ki diabeł? Wreszcie wylazło szydło z worka. Otrzymałem przed świętami od lwowskich druhów, wydających harcerskie pismo, miłe życzenia i kolędę, którą, jak należy odśpiewałem potężnym barytonem, po czym ją złożyłem ad acta. Poznałem poniewczasie, że to właśnie pogrążyło mnie w harcerskiej rzeczypospolitej. Teraz sobie przypomniałem. „Poszukiwacze ścieżek" pisali bowiem do mnie makaronicznymi wierszami:

... „Wina nie pijemy, pieniędzy nie lubimy, o artykuł do Skauta gorąco prosimy. Felix na świecie nam trwaj, piórem kolendę nam daj! Jak nam nie dasz kolendy, będziem cię ganić wszędy, dicentes: skąpy, sknera nic nie dał, oby taki nie bywał! Gdy kolędę weźmiemy, wychwalać cię będziemy, dicentes: largus, datny, cnotliwy, oby nam longe żył!"

„Tu leży pies!" Nie dałem kolędy. Jeden drugiemu szepnął o tym na lewe ucho i zrobiono ze mną niesławny koniec. To nie dobrze. Lepiej jest nawet mieć na pieńku z żoną, bo żona jest jedna, niż z dryblasami, których się włóczy po naszej ziemi kilkadziesiąt tysięcy, a każdy ma długi kij. „Skąpy, sknera, nic nie dał..." Będą o tym szwargotać po obozach i będą mnie „ganić wszędy". Jestem dość zaprawny w gadaniu, czterdziestu tysiącom jęzorów jednakże nie zdzierżę. Różni różnie proszą pisarza o artykuł do gazety. Redaktor płacący zamawia go głosem suchym i urzędowym, nie płacący ma przy tej okazji głos podbity futrem i posmarowany przaśnym miodem. Ale żeby od razu z pyskiem do pana „literaty"... Co mam robić? Bić się z całą armią? Będą się bawić moimi kośćmi, śpiewając swoje wesołe piosenki. Jak niepyszny sięgnąłem przeto do literackiej spiżarni i posłałem im artykuł, abym długo żył i dobrze mi się powodziło. A może i dlatego, że — po cichu mówiąc — bardzo mi się podobało to zuchwałe zaproszenie. Głupawie wygląda, jeśli młode drapichrósty przemawiają do człowieka z pompą i z nadętym frazesem. „Czcigodny Panie! Żywimy nadzieję... Nie odmówi Pan polskiej młodzieży..." i takie inne koszałki-opałki. Te lwowskie wisusy mają humor i umieją chytrze połaskotać serce. Harcerze „nie gęsi i swój język mają". Dlatego zawsze dostaną artykuł z okrzykiem: „Masz, bierz i nie krzycz!"

Duma mnie, oczywiście, rozpiera, że będę wydrukowany w harcerskim piśmie, nota bene, jeżeli krótkoportkie redaktory zechcą uznać artykuł za godny druku. Licho ich wie, jakie tam mają

NASZA PIEŚŃ



fanaberie. Wyroku oczekuję z drżeniem serca, pismo to bowiem jest wspaniałym organem, w którym pisują same harcerskie wygi, otrzaskane ze wszystkimi sprawami bujnego życia, których ja szukam na dnie kałamarza. Czy ja umiem wytropić ślad wroga? Czy stałem kiedy na warcie w lesie? Umarłbym ze strachu... Czy ja potrafię zapalić ogień bez zapałki, albo wystrugać maszt do namiotu? Sam pan prezes Towarzystwa literatów i dziennikarzy nie ma, we wspaniałych tych sprawach, niebieskiego pojęcia. Żaden z nas nie posiada nawet scyzoryka, cóż mówić dopiero o fińskim nożu. Kto z licznej literackiej gromady umiałby napisać taki cudny artykuł, jak ten który z zachwytem i zawiścią czytałem w „Skaucie": — „Jak wyostrzyć żyletkę na szklance?" Nie damy rady, panowie towarzystwo! Przyznam się teraz, że po pilnym przeczytaniu całej gazetki harcerskiej marzę o ukazaniu się w niej mojego pisania. Honorariów w niej nie płacą, bo jak piszą: „pieniędzy nie lubimy". Zgoda. Uczciwi są to jednakże publicyści, bo niczego nie chcą za darmo. W artykułach pod nę-

cącym tytułem: — „Można zarobić!“ — ogłaszają, że za najlepszą korespondencję „zarabia się“: dziesięć, albo nawet dwadzieścia punktów. Niewiadomo, co szczęśliwy zdobywca robi z tą honorową monetą, musi to jednak być zysk nielada, skoro „zastęp jeleni“ zdobył już dwadzieścia punktów, „zastęp orłów“ — dziesięć, „lisów“ — piętnaście — (lisy! gdzie wasza chytrość?) — i „zastęp żubrów“ tyleż. Muszę się mianować jakimś dzikiem zwierzem i nałapać tych punktów, ile się da. Potem ogłoszą: „Zastęp samotnego niedźwiedzia“ zdobył punktów sześć. Wspaniały to pomysł, lecz ja, pisząc o nim, postępuję lekkomyślnie. Redaktorom wielkich pism może on tak przypaść do smaku, że zaczną też płacić punktami.

Współpracownictwo w młodym piśmie nastręcza wiele jeszcze innych sposobności do wybicia się i do zajęcia znacznego miejsca w literaturze ojczystej. Można tam uzyskać „honorowy totem“. Wielka to jest odznaka i przysparzająca mnóstwo sławy. Kto rozwiąże bezbłędnie piekielnie trudne zadanie, zdobywa zaszczytny tytuł „Sherloka Holmesa“ i zapewnienie, że fotografia genialnej jego gęby będzie umieszczona v harcerskiej gazecie. O, radości! Raz być tam odfotografowanym i umrzeć ze szczęścia... Nie każdemu to się uda, oczywiście. Umysły mniej sprawne i cięższe, mogą jednak otrzymać równie świetne totemy: przydomki „ojca Browna“ i „doktora Wattsona“, który to mąż, jak ludziom oczytanym wiadomo, był kibicem Holmesa i jemu to wielki detektyw wiercił dziurę w brzuchu, gdy nie miał krwawego zajęcia. To też nie jest do pogardzenia. Ba! Osobiście wolałbym nawet zdobyć totem „ojca Browna“, ten bowiem bohater rozkosznego Chestertona jest stokroć rozsądniejszy i zręczniejszy od Sherloka Holmesa, który nadrabia miną, fajką i grą na skrzypcach, co mu w sferach policyjnych mają za złe. Nie kusiłbym się natomiast o totem dra Wattsona, jest to bowiem kreatura wcale tępa i nigdy nie może odgadnąć z guzika mordercy, że właściciel tego guzika jest wdowcem, ma rude włosy, czarny parasol i umie łowić ryby. Zostać w „Skaucie“ ojcem Brownem — to byłaby kariera. Lecz ani marzyć o tym. Żebym myślał przez niedziel sześć, nie rozwiążę piekielnej tej zagadki, którą Żubr, albo Jeleń w lot odgadnie. O harcerze! Nauczcie nas jastrzębiego wzroku i widzenia w ciemnościach. Gotów jestem dać wam za to jeszcze jeden artykuł bardzo tanio, bo za punktów dziesięć!

Kornel Makuszyński

MISTRZE PIONU

Stęskniony za miastem po kilkutygodniowym pobycie na obozie włóczę się po Lwowie i z ciekawością oglądam zmiany. — Wylazło z fundamentów wiele domów, niektóre z nich przybrały się już w szlachetną wyprawę i cieszą oko nowoczesnym rzutem kształtów.

Przechodzę właśnie obok wielkiej budowy. Robotnicy zeszli już z rusztowań, jedni zbierają i chowają narzędzia inni porzuciwszy młotek i kielnię ocierają z zadowoleniem ręce o fartuchy, dobywają kapciuchy albo kręcą papierosy spoglądając na wykonaną dzisiaj robotę.

Kiedy mam zamiar odejść słyszę moje imię: Stachu Stachu! Podbiega do mnie jakieś mile umorusane chłopisko i zdaleka wyciąga rękę na powitanie. Po uśmiechniętej gębie poznałem zaraz Bolka, drogiego mi przyjaciela i druha z macierzystej trójki. — Cudnie Boleczku — wołam — skąd się tu wziąłeś na tej budowie? Jesteś już wyzwolony?

Mina Bolka poważnieje i opowiada mi jakto przystał do murarzy najpierw na pomocnika a teraz od trzech miesięcy pracuje jako wyzwolony czeladnik.

Wspomnienia naszych wspólnych harców przypominają mi mój obecny obowiązek reportera „Skauta“, w kilku — przeto słowach opowiadam Bolkowi o początkach mojej kupieckiej kariery i przystępuję do systematycznego indagowania.

— Skąd Ci się wziął pomysł, aby właśnie do murarzy się zaciągnąć?

— Widzisz pomagałem najpierw ojcu gdyśmy własny domek budowali, a ty wiesz, że wolę taką konkretną robotę niż szwendanie się bez celu. Potem nająłem się do majstra, co to u nas robotę prowadził — zostałem pomocnikiem.

— No dobrze, a jak się tego wszystkiego nauczyłeś?

— Ha! na początku — było ciężko. Nosiłem cegłę na koziołku, — tysiące razy zbiegałem po nią po sztagach. Ale wolałem cegłę niż wapno nosić. Potem nauczyłem się wapno gasić i zaprawę rozrabiać. Niech Ci się nie wydaje, że to takie łatwe...

— A umiesz już mur ciągnąć? —

— Oczywiście — tego się później nauczyłem. Z pionem i z wagą poszło mi łatwo. Ale nie myśl, że każdy mur się jednakowo kładzie. Jest tyle sposobów i systemów — a już najbardziej nie lubię tych skośnych naroży, bo nie zawsze wiem jak połączenie rozwiązać. Jakoś zawsze wybrnę, chociaż często majster się piekli — ale to mi nie nowina. Murarz bez klęcia nie wytrzyma. Jeżeli chcesz Stachu, to przyjdź tu jutro a nauczysz się kilku nowych polskich słówek — śmieje się Bolek.

— Z twojego opowiadania wnoszę, że jesteś zapalony do twego zawodu Boleczku.

— Mówię Ci Staszek, wszystko inne to nic. Siły trzeba to prawda, ale też się siła wyrabia. Choć kości po robocie bolą, ale to taki ból co w zadowolenie idzie.

— Dobrze, a czy od wapna albo cementu nie biorą się jakieś choroby?

— E! gdzietam choroby! Wapno skórę na łapach ci przeżre, to prawda, ale żeby z tego chorować to nie! Z czasem skóra stwardnieje. Niebezpieczny to mój zawód nie jest. Ot trochę sportu w niedzielę, żeby schylanie po cegłę i wapno wyrównać. Swoją drogą mazgaj murarzem nie będzie, bo to i dowcip mieć trzeba, i umieć się zwijać i po drabinach a i rusztowaniach chodzić.

— To musi być jednak niebezpieczne!

— Widzisz teraz to są te poradnie zawodowe i jakieś badania psychotechniczne, aby zbadać czy kto do takiego łażenia się nadaje. Mieliśmy tu takiego fanfarona, młody chłopak, a głupi i wyłaził wszędzie czy trzeba czy nie. Robiliśmy wieżę na kościele. Majster kazał mu się wiązać na linie, by nie spadł — a smarkacz nie. Dostał cięgi od nas to się potem wiązał. Raz szczeniak zawisnął na linie, bo się schylił po młotek, co mu z rusztowania upadł. O teraz to już jest dobry. Nie trzeba mu przypominać.

— Słuchajno Bolek, a poza murarką co porabiasz?

— Teraz nic, ale do niedawna chodziłem do szkoły.

— Do jakiej znowu szkoły?

— To nie wiesz, że są szkoły zawodowe? Chodzi się wieczorem.

— Takie niby dokształcające?

— O dużo uczą ciekawości, a jakby się chciało podmajstrzym zostać, to bez tych wszystkich wiadomości ani rusz. Zresztą co myślisz, że murarz to już nie musi nic wiedzieć co i jak? a plan odczytać, a wymierzyć. Jak się buduje i tworzy to trzeba też wiedzieć gdzie i dlaczego, jak to inni robią i poco. O bo w Polsce jest jeszcze dużo dużo do budowania! Chwała Bogu że się teraz trochę rusza. Mówię Ci, że będzie dobrze skoro my murarze zaczynamy!

— Widzę Bolek, że się interesujesz sprawami publicznymi — mówię zachęcająco. Pewnie należysz do stowarzyszenia?

— Tak do Związku Zawodowego murarzy odkąd zostałem wyzwolony a także drużyny skautów rzemieślników. Zaczyna się w tej drużynie dobrze. Jest trochę młodych cieśli i murarzy, myślę, że robota pójdzie dobrze, a jak nie to ją sam poprowadzę — pamiętasz byłem przecie w trójce zastępowym, to wezmę chłopów za łeb i cudne harce sobie urządzimy. Mam już umyślony jeden kawał na zimę, ale o tym powiem Ci jutro jak przyjdziesz.

— No do widzenia Bolku do jutra — ale wiesz gdy tak na ciebie patrzę i na twoją radosną gębę i na te Twoje stwardniałe dłonie przypomina mi się ta stara harcerska piosenka: „Hej naprzód do pracy pionierzy!“...

— Acha! Braun! ogromny budować trza dom! — kończy Bolek. Ściska potężnie moją garść i goni na budowę po swoje manatki.

su

Czy czytałeś książkę „O WIELKIM WODZU“

DOŚWIADCZENIA JAMBOROWE

Ostatnie jambo w Vogelenzang miało wyraźnie swoiste oblicze. Dla umiejącego patrzeć i wyciągać wnioski było bardzo ciekawe i pouczające. Ciekawe, bo uwidoczniło, może raczej zasygnalizowało, niepokojące rysy na gmachu skautingu światowego — pouczające, dla nas polskich harcerzy, bo wykazało i pogłębiło wiele cieni na naszym życiu organizacyjnym i stronie ideowo-wychowawczej harcerstwa. Dla zwykłego „człowieka na eksport“ czyli starego wyjadacza jamborowego było ono zwykłym międzynarodowym bałaganem z żywotnym jeszcze, jakkolwiek zanikającym już czendżem, wrzaskiem, hałasem, z publicznością zaglądającą ci do garnka, autografami i tym podobnymi akcesoriami zlotowymi. — O tych wszystkich sprawach chcę pokrótce z czytelnikami Skauta pomówić szczerze i otwarcie nie ukrywając prawdy, choćby była przykra a nawet bolesna.

Niesposób nie powiedzieć kilka słów o kraju Holendrów, bo nasuwają się ciągłe refleksje i porównania z Polską. Pierwsza rzecz, która uderza i zadziwia oczy nasze po przekroczeniu granicy holenderskiej to idealnie równe i gładkie drogi, z sunącymi niezliczonymi rowerami. Drogi są wysadzane, starannie pielęgnowanymi drzewami. Co chwila przed oknami przesuwające się cudne miasta i miasteczka holenderskie. Nie miasta to, lecz grupy chyba jakichś zabawek dzieci olbrzymów, bawiących się w budowę miast. Czerwone plamy dachów i białe smugi okiennic i odrzwi fantastycznie kolorowe czworoboki kwiatów — na tle nieskazitelnej, grającej kilku odcieniami, zieleni — składają się na piękno tej ziemi. uwiecznionej pędzlem mistrzów holenderskich. Westchnienie bolesne wymyka nam się z piersi: Kiedyż to będzie u nas? Kiedy zniknie z naszych miast dziurawy bruk, śmierdzący brud i odrapane domy? Kiedy zjawią się drogi na tzw. prowincji polskiej, po których można bedzie jeździć bez obawy połamania kości? — Praca, praca, wszędzie praca czeka nas ogromna, aby nadrobić stratę dziesiątków i setek lat. — Minęliśmy Amsterdam, zbliżamy się do Haarlemu.. Poldery! Wielkie słowo w ustach Holendra To kawałki ziemi, krwawym trudem wydarte morzu, w celu zasadzenia ich cebulkami hiacentów, tulipanów, gladioli i krokusów, stanowiących jedno ze źródeł narodowego bogactwa. Zachwyt nasz osiąga swe maksimum, gdy po pokryciu autobusem 100 km w kierunku na północ od Alkmaru, wpadamy na słynną tamę, zamykającą Zuider See. Tama około 40 kilometrowej długości 90 metrowej szerokości, zbudowana z granitu, sprowadzonego z Norwegii, bo go w Holandii nie ma, mająca zamienić całą zatokę w poldery urodzajne — tożto dzieło bezprzykładnej prawie pracowitości i wytrwałości narodu! Mimowoli myślę że smętkiem o naszym Polesiu... I dlaczego chłop małopolski popełnia czyny rozpaczy dusząc się w braku ziemi, i w braku terenów do emigracji, gdy tyle w Polsce nieużytków, które wysiłkiem woli, samozaparciem i znojnym trudem pokoleń można by zamienić w pola urodzajne i osadzić na nich nadmiar ludności. Ale trzeba tylko bardzo, naprawdę chcieć![1]).

Holendrzy to mądry i sprytny naród, umieją to, czego my nie umiemy z wielką szkodą dla kraju. Umieją się reklamować, umieją wszystko dobrze sprze-



dać. Dla kogoś kto się nie zetknął z nią osobiście, Holandia to kraj malowniczych wiatraków, barwnych pól kwiatowych, uśmiechniętych i dobrze sobie wyglądających Holendereczek w czapeczkach z dużymi fantazyjnymi podwiniętymi kokieteryjnie uszami. Tymczasem trzeba wiele kilometrów przejechać elektrycznym pociągiem i autobusem, zanim się zobaczy kilka wiatraków razem skupionych, a po oglądanie pięknych holenderskich strojów ludowych trzeba jechać do Vollendam koleją, a do Marken statkiem. Zachwyt twój na widok bajecznie kolorowych wyspiarzy szybko ostudza się, gdy się dowiesz od kogoś niedyskretnego, że rząd holenderski specjalnie subwencjonuje ludność tych osiedli i nie pozwala się inaczej ubierać, aby ściągać tłumy naiwnych, jakże często, turystów! — A ileż to u nas przepięknego, świeżego, oryginalnego folkloru mieści się w Tatrach, na Huculszczyźnie, Kujawach itd. — i kto to kiedy z zagranicy ogląda i co najważniejsza płaci? — Czyż rozumiecie choć trochę dlaczego Holendrzy żyją w dobrobycie i beztrosko? — Zaiste uczyć się nam trzeba od nich!

Po tym bardzo pobieżnym rzucie oka na Holandię śpieszymy do Vogelenzang na teren jamborowy. (c. d. n.)

Franciszek Machalski

---

[1]) Sprawa melioracji Polesia nie jest rzeczą tak prostą jakby ze słów autora wynikało. Brak naturalnych spadków terenu stawia przed inżynierami wodnymi trudności niemal nie do pokonania, dlatego coraz więcej zamiast o osuszeniu mówi się o wykorzystaniu Polesia jako terenu gospodarstw wodnych.
Red.

KRYPTOWIZORY

Użycie energii elektrycznej powstającej w komórce fotoelektrycznej pod wpływem światła do celów praktycznych znajduje obecnie coraz szersze zastosowanie, choćby tylko wymienić film dźwiękowy, telewizję, urządzenia alarmowe, kontrolne, przeciwpożarowe itp.

Przez wzmocnienie słabiutkich prądów powstających w komórce fotoelektrycznej uzyskujemy odbiornik, który pozwoli poruszyć dzwonek elektryczny, włączyć światło elektryczne lub inne potrzebne nam urządzenie.

Otwierające się dzisiaj przed tym urządzeniem olbrzymie możliwości zastosowania nakazują nam podać na przykładzie zasadę działania[1]) „kryptowizora“ i sposób montowania go w domu.

Każdy radioamator obznajomiony z budową najprostszego lampowego odbiornika radiowego, każdy zresztą młody wynalazca może sobie łatwo sam taki kryptowizor sporządzić po to, aby znaleźć dalsze ciekawe zastosowania.

Opisujemy dla przykładu kryptowizor zmontowany w pokoju — jako urządzenie alarmowe zabezpieczające przed złodziejem.

Z jednej strony drzwi ustawiamy mały reflektor włączony do sieci elektrycz-

---

[1]) Opisano w „The Raycraft Book“.

nej, albo połączony z baterią lub akumulatorem).

Z reflektora tego pada wiązka światła elektrycznego na ustawioną po drugiej stronie drzwi (rys. 2.) komórkę fotoelektryczną, która z kolei łączy się z wzmacniaczem lampowym. Wrażenia elektryczne z komórki idą jak to widzimy na schemacie (rys. 3.) i planie montażowym (rys. 4) do siatki lampy wzmacniacza poprzez kondezator 25 mf.

Do regulowania żarzenia służy reostat (opór zmienny) o 0,1 do 7 megomów.

Płytkę lampy łączymy z uzwojeniem pierwotnym transformatora, drugi biegun komórki fotoelektrycznej z biegunem dodatnim baterii anodowej (powyżej 100 V).

Szczegóły połączeń tłumaczą schematy. (— LT oznacza połączenie z ujemnym biegunem baterii żarzenia 4 V., +LT z dodatnim biegunem tejże baterii, — HT oznacza połączenie z ujemnym biegunem baterii anodowej, zaś +HT, z dodatnim biegunem tejże baterii).

Na zaciskach wtórnego uzwojenia transformatora uzyskujemy już energię wzmocnioną, zdolną do poruszenia włącznika (elektromagnesu), który łączymy z dzwonkiem elektrycznym, zasilanym osobno z baterii (np. kieszonkowej).

Dzwonek alarmowy jest połączony tak, że dzwoni wtedy, gdy w cewce elektromagnesu brak prądu, przestaje zaś dzwonić gdy poruszony przez wzmacniacz elektromagnes przerywa obieg dzwonka.

Skoro teraz ktoś niepowołany przejdzie przez linię wiązki światła rzuconego przez reflektor na komorę fotoelektryczną prąd w elektromagnesie włącznika ustaje, sprężyna odskakuje od żarzenia elektromagnesu, włącza obieg dzwonka i uzyskujemy sygnał alarmowy dzwonka.

Jeżeli chcemy, aby wiązka światła była niewidoczna, wystarczy tylko na reflektor założyć filtr do promieni infraczerwonych.

Jeżeli teraz odpowiednio zamaskujemy w pokoju pomieszczenie całego urządzenia, to uzyskamy niewidoczny dla oka promień światła, przez który nikt bez spowodowania sygnału alarmowego nie będzie w stanie przejść.

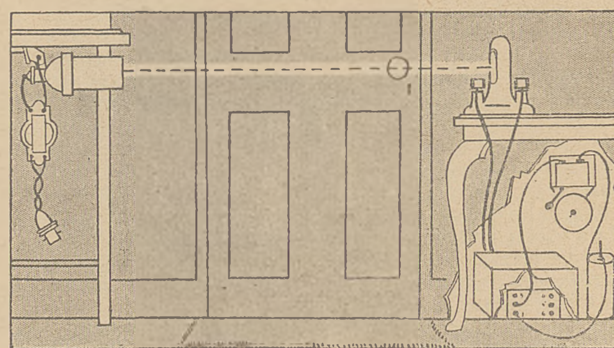
Jakie są dalsze możliwości?

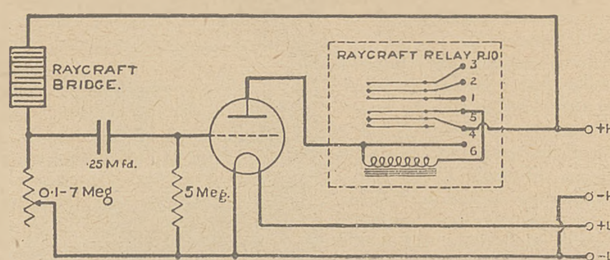
Zamiast dzwonka włączyć można na odległość światło elektryczne, albo nawet motor elektryczny.

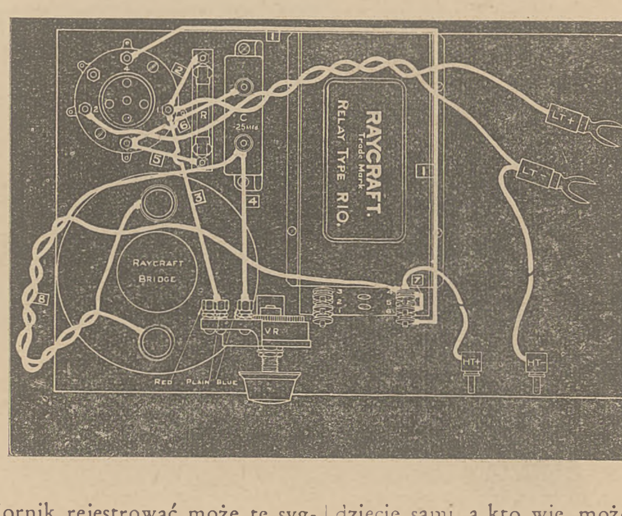
Jeżeli teraz z reflektora naszego nadawać będziemy sygnały świetlne, to nasz odbiornik rejestrować może te sygnały lub zmieniać na dźwięk. Jakie są możliwości dla użycia kryptowizorów do sygnalizacji w harcerstwie, w technice dla obrony kraju? włączenia na odległość światła, załączenia aparatów i urządzeń? — Spróbujcie pomyśleć dojdziecie sami, a kto wie, może czeka Was radość osiągniętego domowego wynalazku. Skaut chętnie użyczy swoich szpalt zarówno na wyjaśnienia waszych wątpliwości, a także skwapliwie umieści Wasze notatki o dokonanych doświadczeniach.

su









W przygotowaniu zajmujący artykuł o motocyklach

Przegląd prasy

Do najlepszych korespondencji z tegorocznego jambo należały bez wątpienia artykuły Zofii Kossak zamieszczane w „Gazecie, Polskiej”. Na zakończenie ich cyklu przytoczyła autorka w Nrze 247 z 6 września ciekawą rozmowę, którą tu zacytujemy:

— Powiedźcie nam szczerze czego chcą od nas „wysokie szarże międzynarodowe“, — pytaliśmy kiedyś starszego rower-skauta z belgijskiej katolickiej organizacji. — Oto znów „Manchester Guardian“ pisze, że jesteśmy w życiu obozowym trudni, obraźliwi, pełni „narodowej arogancji“!?

Belg podrapał się w głowę jak Mazur.

— Bo ja wiem? Wy polacy jesteście porywająco sympatyczni, niepospolicie zdolni... Co do militaryzmu, ja sam uważam, że Anglia ma ćwieka na tym punkcie... To przesada... Ale... Wybaczcie że będę szczery... Brak wam kultury współżycia międzynarodowego... Jesteście ciągle nastawieni, że ktoś, gdzieś chce was urazić... W razie najmniejszej uwagi potrząsacie szablą jak Hiszpan z operetki, żądacie przeprosin, odwoływań... A równocześnie nie szanujecie dostatecznie tej samej drażliwości u innych... Poza tym śmieszny nam się wydaje wasz nakaz potrójnej wstrzemięźliwości... Dobry dla małych chłopaczków, nie dla dorosłych. Wszyscy wiedzą, że narówni z Węgrami czy Francuzami, jesteście kobieciarze i moczygęby, a tu naraz... asceci! Kto w to uwierzy?

— Jednakże, choć zdarzają się wypadki złamania prawa, na ogół jest ono obserwowane. To uważamy za wielką zdobycz i triumf harcerstwa...

— Nie rozumiem takiego poglądu! Co kieliszek wina lub papieros mają do idei? Wyrzeknijcie się jak my pijaństwa, nałogów, ale nie róbcie mistyki z drobiazgów... Z pewnością tracicie przez to wielu członków... Koszt nie pokrywa korzyści... Kto u was zostaje?... Nieliczni fanatycy, niedołęgi lub ci co popijają, ale pokryjomu... Najlepsi dorósłszy odchodzą, nie chcąc być w kolizji z prawem... Czy nie? My śledzimy uważnie te sprawy... Jesteśmy przekonani, że ta „mistyka“ to wasz błąd organizacyjny, wasz grzech pierworodny, który wam samym z pewnością dał się dobrze we znaki, a wy zamiast z nim zerwać, drapujecie się weń jak w urojoną wyższość i każecie nam podziwiać... To nas razi, bardzo razi... My znamy życie i ludzi... To razi też Anglików, którzy nie znoszą zakłamania... szczególniej u drugich...

Również w „Gazecie Polskiej” Nr 265 z 24 września znajdujemy ciekawy felieton Marii Kuncewiczowej z Kongresu literatów w Paryżu. Przytaczamy z niego charakterystyczny fragment o nietakcie pewnej Szwajcarki.

Podczas wycieczki do zamków nad Loirą w jakimś punkcie drogi autocary zatrzymały się i różnojęzyczna publika wysiadła. Przystanek nie był przewidziany, wywołał go zapewne feler (chyba defekt przyp. red.) w motorze, tym nie mniej zamek niezmiernie efektowny, wznosił się nad drogą i część towarzystwa pobiegła go obejrzeć. W zapale (to były pierwsze godziny wycieczki) nie usłyszano, że autocary mają ruszyć dalej za 10 minut. Kiedy po dwunastu minutach, zdyszana gromadka wróciła na placyk — stał już tam tylko pomocnik szofera, z irytacją machający rękami. Galopada, pościg, pakowanie się na nieswoje miejsca w ostatnim samochodzie i refleksje statecznych gości. „Po co zwiedzać coś, co nie jest oznaczone w programie?“ — „Jak można zwiedzać na własną rękę?“ — „Czyż nie mówiono, że postój ma trwać 10 minut?“ — Z powodzi pytań, mających na celu skarcenie niesfornych, wynika kwestia: „Jakiej narodowości są ci, którzy się spóźnili?“. Okazuje się, że Polacy. Szwajcarka, która wszczęła kwestię, oświadcza, że „teraz ona już wszystko rozumie“. Chwila ciszy. Nacje albo triumfują, albo współczują, albo ogłaszają neutralność, patrząc usilnie przez okno. Wreszcie na stronie wywiązuje się rozmówka między Szwajcarką, a spóźnioną Polką. Polka mówi: „Proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Niczego tu nie reprezentuję, tylko samą siebie. I jako osoba w niebieskim szaliku gotowam przyjąć wszelkie reprymendy, jako Polka — jestem na urlopie. Tak samo, jak jest na urlopie Angielka, obgadująca swoją rodzinę królewską... Czy pani jest pewna, że każdym swoim odruchem kontynuuje tutaj działalność Wilhelma Tella oraz Pestalozziego? Rękawiczki pani są brudne, a Szwajcaria taka czysta!“ Rozmówka — po dwóch dniach — skończyła się przyjaźnią Polki ze Szwajcarką.

W felietonie jest też passus pod naszym adresem, dlatego też go cytujemy:

W harcerstwie międzynarodowym Polacy mają opinię znakomitych obozowców, z którymi jednak trudno obozować z powodu szowinistycznej drażliwości.

A konkluzja autorki, nad którą warto się zastanowić, jest taka:

Przecież wystarczyłoby zdjąć z pleców poszczególnych prezesów obowiązek przemawiania za naród — sprawa straciłaby ostrość; zamiast prowadzić do antagonizmów, dałaby początek braterstwom.

Gawędy z czytelnikami

Przyniósł mi czekającemu niecierpliwie na głosy z terenu, listonosz list jakiego, powiem szczerze, najmniej się spodziewałem. Pisze chłopak, niewątpliwie starszy, ale przy tym, a może dlatego troszkę czupurny. Zresztą osądźcie sami. Oto jego list:

Pierwszy raz piszę do Skauta i nie wiem czy ten mój głos zostanie przyjęty.

Jako zastępowy starszego zastępu z radością dowiedziałem się ze słów Druha Naczelnika, że my starsi w drużynie stajemy się osobną grupą i zostaniemy od młodszych oddzieleni. As opisał nam w pierwszym numerze „Skauta“ jakto się nad nami w Górkach starszyzna biedziła, jak radzono i o nas mówiono. Zwołałem zaraz zbiórkę zastępu, „Skauta“ przeczytaliśmy jednym tchem. Narady w Górkach bardzo nas zaciekawiły ale i zaniepokoiły.

Może będzie z nami coś, czego może w harcerstwie nie oczekujemy? Dlaczego tak nagle my starsi staliśmy się w Związku tak ważni?

Może przez nieuwagę zdradzono nam tajemnicę harcmistrzów i to, że były dotychczas niedociągnięcia w metodach dla chłopców starszych w drużynie.

Zastęp mój uradził prosić, aby nam starszym chłopcom pozwolono wypowiedzieć się także na łamach „Skauta“ o tym czego mybyśmy w tej nowej organizacji chcieli.

Zastęp mój ma swój program, ma swoje dążenia. Hasła rzucone przez Druha Naczelnika podniosły ducha i zrodziły zapał. Chcemy bronić sztandaru, chcemy być pionierami, ale chcemy mieć także pewność, że droga nasza i sposoby nasze są doskonałe — i o tym chcemy na łamach „Skauta“ z innymi starszymi chłopcami z innych dzielnic Polski pomówić.

Gdyby „Skaut“ użyczył swoich łamów na rejestrowanie doświadczeń w „skautowej“ pracy i na dyskusję o celach i metodach — mielibyśmy teren na którym uczylibyśmy się jak hasła nam dzisiaj rzucone w czynie wyrażać.

Wilk z północy

Cóż mam odpowiedzieć na to? A więc przede wszystkim, że czytając jednym tchem ostatni mój numer zapomniał przeczytać mojej gawędy z czytelnikami, gdzie wyraźnie piszę, że staję się organem, a więc daję swoje łamy do dyspozycji, starszej młodzieży harcerskiej.

Po drugie wcale my starsi nie stajemy się nagle tak ważni. Powiedziałbym, że raczej dotąd byliśmy zapomniani, niedocenieni i daliśmy się nawet małym zuchom zakasować i to nie tylko ilością.

Po trzecie wreszcie oznajmiam, że czekam właśnie na artykuły Wilka z północy i jego braci i wilków im podobnych, ze wszystkich stron świata.

Skaut

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

PRENUMERATA przy zamówieniu

egz. wynosi	mies.	kwart.	roczn.
1 . . . zł	0·50	1·25	3·50
5 . . . . „	1·50	4·50	13·50
10 . . . . „	2·90	8·70	26·—
20 . . . . „	5·60	16·80	50·—

przy zamówieniu większej ilości niż 20 egzemplarzy, należy liczyć za każdy egzemplarz 14 gr tj. miesięcznie 28 gr kwartalnie 84 gr, rocznie zł 2·50. Prenumeratę wpłacać przez P. K. O. 504.610 lub przekazem rozrachunkowym Nr 58

Numer pojedynczy kosztuje 25 groszy

Warunki kolportażu wysyłamy na żądanie

SKAUT

TOM XXV

Nr bieżący 344

Wydawca:
Z. O. Lwowskiego Z. H. P.

Redaktor naczelny i odpow.
Mgr WIKTOR FRANTZ

Sekretarz redakcji
BRONISŁAW ŻYCHIEWICZ

Kierownik Wydawnictwa
WŁADYSŁAW WENZEL

OGŁOSZENIA:
cała strona zł 150, ½ zł 80, ¼ zł 45, ⅛ zł 25, 1/16 zł 15, 1/32 zł 8.

W tekście 50% drożej. Przy ogłoszeniach seryjnych odpowiedni rabat.

Drobne za wyraz 15 gr. Najmniejsze 10 słów, największe 50 słów.

Dla harcerek i harcerzy 10 gr za wyraz

Nekrologi 15 gr za wyraz, najmniej jednak zł 5·—

Życzenia i zastrzeżenia miejsca dla ogłoszeń uwzględniane są nieobowiązująco w miarę możności

Rękopisów redakcja nie zwraca

Artykuły zamieszczane w piśmie nie są honorowane

Contents:

SKAUT

fortnigthly for scouts and girl guides.

Editor's Office: Kurkowa 12, Lwów.

Sommaire:

SKAUT

Revue bimensuelle à l'usage des éclaireuses et des éclaireurs.

Rédaction: Kurkowa 12, Lwów.

Enhavo:

SKAUT

dusemajna revuo por skoltoj kaj skoltinoj.

Redaktejo: Kurkowa 12, Lwów.

Tłoczono w Drukarni Polskiej Lwów, ul. Krasickich 18 a